

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 22 (517) 31 MAJA 1970 R.

Eucharystia, Najświętszy Sakrament Ołtarza ♦
Nabożeństwo ekumeniczne ♦ Dzieci Rodzi-
ny Człowieczej ♦ Polska tamtych lat ♦ Stary
Doktor ♦ Przyjaciół czy wróg człowieka?

CENA 2 ZŁ



Kapela dziecięca (fragment) — mal. Tadeusz Makowski (1882–1932)

Fot. H. Romanowski

albo poza nim. Podział na ludzi wewnątrz i zewnątrz Domu Bożego nie musi koniecznie przebiegać według metryki Chrztu, ponieważ sam Chrystus ostrzegł: „Nie każdy kto mu mówi: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca” (Mat. 7, 21). Czyli w progach Domu Bożego może być każdy, kto żyje uczciwie — niezależnie od światopoglądu. Tym niemniej — niezależnie od wyjątków — wewnątrz Domu Bożego są przede wszystkim ci chrześcijanie, którzy wiedząc o swej przynależności do Kościoła Jezusa Chrystusa poczuwają się do obowiązku brania udziału w zbiorowych nabożeństwach niedzielnych, aby zapełnić Dom Boży z kamienia i cegły, którzy przyjmują Sakramenty św. stanowiące symbol i zadatek wielkich darów duchowego Domu Boga, Królestwa Niebios oraz słuchają kazań wyjaśniających Słowo Boże. Kiedyś — w okresie konstantyńskiego triumfalizmu — władze ziemie pouczane błędnie przez niefortunnnych teologów, że mają prawo przymuszać chrześcijan do przestrzegania nakazów wiary, zapełniały Kościoły ludźmi w sposób niegodny Domu Boga. Po całkowitym odrzuceniu i zapomnieniu tych praktyk wyzwoleni, lecz i świadomi chrześcijanie zapełniają domy Boże i Królestwo Niebios z własnej woli powodowani wewnętrzną dyscypliną i szczerą wiarą.

Ks. S. WŁODARSKI

MAJ — CZERWIEC

31.	N.	Petroneli, Anieli
1.	P.	Jakuba
2.	W.	Marceli, Erazma
3.	S.	Klotyldy, Leszka
4.	Cz.	Franciszka
5.	P.	Bonifacego
6.	S.	Norbenta, Artem.

zylili wszystko jest w porządku. Jeden z autorów pisze: „Z przerażeniem czytałem nonszalanckie informacje o Brazylii, podczas gdy rzeczywisty problem w tym kraju w dalszym ciągu polega jeszcze na znalezieniu takiej formy rządzenia, która uwzględni prawa ludzkie”.

Zdaniem „Sola Fide”, materiał przygotowawczy stoi w jaskrawej sprzeczności z programem pracy Zgromadzenia. Kongres, który w poważnej mierze chce się zająć sprawami wewnątrzkościelnymi, winien lepiej się odbyć w takim kraju jak Brazylia. Pleniądze prze-

znaczone na sfinansowanie Zgromadzenia można by pożytecznie użyć na pomoc dla uciskanej ludności.

Konferencja poświęcona zagadnieniom unii kościelnej

W połowie kwietnia br. w Limuru k. Nairobi (Kenia) odbyła się konferencja poświęcona zagadnieniom unii kościelnej, zorganizowana przez Sekretariat do Spraw Wiary i Ustroju Kościelnego Światowej Rady Kościołów. Uczestniczyło w niej 6 biskupów, 43 duchownych i wielu świec-

kich z 30 krajów, reprezentujących 7 zjednoczonych Kościołów i 23 komitety, które aktualnie radzą nad zawarciem unii kościelnej.

Przy okazji warto wspomnieć, iż w ostatnich trzech latach zawarto pięć różnych unii kościelnych, a aktualnie realizuje się szósta.

Przedstawiciele Kościoła Starokatolickiego w Konstantynopolu

Arcybiskup-koadiutor Utrechtu Marinus Kok i Biskup Kościoła

STAROKATOLICKIE „CREDO” (64)

Msza św. powtórzeniem Ofiary krzyżowej

Wprawdzie Jezus Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy powiedział: „Czyńcie to na moją pamiątkę” (Łuk. 22, 19), lecz Ap. Paweł wyjaśnił, że nie chodzi tutaj o wspomnianie samego spotkania Chrystusa z Apostołami przy stole Ostatniej Wieczerzy: „Ilekroć będziecie ten chleb jedli i Kielich pili, śmierć Pańską będziecie opowiadać, aż przyjdzie” (1 Kor. II, 25). Chodzi o powiązanie łamania Chleba i picia Wina ze śmiercią krzyżową stanowiącą najprawdziwszą i jedyną ofiarę: „Na mocy tej woli uświęceni jesteśmy przez ofiarę ciała Jezusa Chrystusa raz na zawsze. Wprawdzie każdy kapłan (Starego Testamentu) staje codziennie do wykonania swej służby, wiele razy te same składając ofiary, które żadną miarą nie mogą usunąć grzechów. Ten przeciwnie, złożywszy raz na zawsze jedną ofiarę za grzechy, zasiadł po prawicy Boga” (Hebr. 10, 10—12). Zatem Chrystus polecił czynić „na pamiątkę” ofiarę Nowego Przymierza, którą złożył najpierw w Wieczerniku jako typ ofiary krzyżowej w sposób bezkrwawy, a następnie przypieczętował własną śmiercią ofiarniczą na krzyżu. Eucharystia więc nie jest pamiątką Ostatniej Wieczerzy jako wieczerzy, lecz pamiątką śmierci Chrystusa.

Przedstawmy z kolei podobieństwa i różnice, jakie istnieją pomiędzy ofiarą Nowego Testamentu na ołtarzu a ofiarą krzyżową. Oto podobieństwa: 1) ten sam przedmiot ofiarniczy mianowicie Jezus Chrystus, 2) ten sam ofiarnik tj. Jezus Chrystus posługujący się kapłanem, 3) ten sam cel pojednania i przebłagania. Różnice: 1) Ofiara krzyżowa była krwawa, ołtarzowa — bezkrwawa; 2) pierwszą złożono tylko raz, a drugą się powtarza; 3) przy pierwszej Chrystus ofia-

rował się bezpośrednio — przy drugiej czyni to za pośrednictwem kapłana; 4) tam ofiarował się widzialnie, tutaj niewidzialnie; 5) Ofiara krzyżowa posiada wartość bezwzględną, samą w sobie, natomiast ofiara na ołtarzu bierze swoją moc z tamtej, przedstawia tylko i przypomina Kalwarię; 6) tylko pierwsza ofiara przyniosła ludzkości odkupienie i wszelkie łaski związane ze zbawieniem; ofiara ołtarzowa nie powtarza aktu odkupienia, lecz spełnia rolę rozdzielczą, ponieważ rozdziela tylko na pojedynczych ludzi ten skarb, który nagromadziła ofiara krzyżowa. Dla lepszego zrozumienia tej funkcji ofiary ołtarzowej można porównać kazania Chrystusa z kazaniem księży. Chrystus po dał całą swoją wzniosłą prawdę wiary, lecz nic byśmy o niej nie wiedzieli ani też nic z niej nie skorzystali, gdybyśmy nie słuchali kazań (w wypadku analfabetów), ani nie czytali Pisma św. i pouczających ksiąg religijnych. Ofiara ołtarzowa (zwana w Kościele Zachodnim Mszą św.) pośredniczy w praktycznym rozdawnictwie łask Odkupienia i Zbawienia. Jest więc prawdą, że Chrystusowa ofiara na Golgocie była jedna i że tylko ona zdołała zmyć ludzkie grzechy (Hebr. 10—18), ale jest również prawdą, że niezbędne jest powtarzanie jej wobec nowych pokoleń wszystkich czasów, aby pamiętały, co zawdzięczają Chrystusowi.

Ofiara Nowego Testamentu jest pochwalna, dziękczynna, pojednawcza i błagalna. Skutki te wywołuje własną mocą w sposób nieograniczony i nieskończony, lecz wymaga również współpracy człowieka modlącego się podczas Mszy św. Samo „wysłuchanie” jej nie przyniesie skutków, stąd konieczność „udziału” czynnego w całej liturgii mszalnej. Do tego zmiernają m.in. ostatnie reformy liturgiczne podejmowane również wśród starokatolików.

Ks. dr S. W.

Starokatolickiego w NRF Józef Brinkhues przebywali niedawno w siedzibie prawosławnego Patriarchatu Ekumenicznego w Konstantynopolu celem omówienia ważnych zagadnień bilateralnych. Głównym tematem rozmów był problem interkomunii i wzajemnego uznania święceń kapłańskich. Postanowiono powołać wspólną komisję teologiczną, która zajęłaby się szczegółowo poruszonymi zagadnieniami.



Na zdjęciach: fragmenty z uroczystości Bożego Ciała w parafiach: w Warszawie, Iwicznej, Świeciechowie i Strzyżowicach

EUCHARYSTIA

Najświętszy Sakrament Ołtarza

Eucharystia! Najświętszy Sakrament Ołtarza! Największe, najwspanialsze, najbardziej Boskie dzieło Chrystusa Pana. Najkosztowniejszy klejnot Kościołów Katolickich. Nieoceniony skarb chrześcijan.

Żaden język, chociażby nawet anielski, nie jest zdolny dość godnie mówić o tej nieprzeniknionej tajemnicy naszej wiary świętej. Najbardziej uczeni mężowie i Doktorowie Kościoła, kiedy mieli mówić o Najświętszym Sakramencie, wołali z przestachem jak prorok Jeremiasz: „Panie Boże! Oto nie umiem mówić!”

Mam pisać o ustanowieniu Najśw. Sakramentu. Jestem przekonany, że za pośrednictwem tygodnika „Rodzina” nie zdołam przemówić tak, jakby należało. Zastrzegam się z góry, że nie będę usiłował naukowo udowadniać tego, w co wspólnie głęboko wierzymy.

Z okazji dorocznej uroczystości BOŻEGO CIAŁA pragnę przypomnieć to, co Bóg uczynił dla rodzaju ludzkiego, a mianowicie: 1) Najpierw, obiecał nam Eucharystię, 2) następnie ją ustanowił, 3) wreszcie, nakazał Kapłanom nieustannie ją odnawiać.

OBIETNICA EUCHARYSTII

Kiedy przed 2000 lat na ziemi naszej zjawił się Bóg Wcielony, Jezus Chrystus, najwyraźniej obiecał ustanowienie Najśw. Sakramentu. Było to na rok przed męką Zbawiciela, kiedy w cudowny sposób dokonał rozmnożenia chleba i nakarmił nim tysięczne rzesze zgłodniałego ludu (św. Jan 6,12).

Rozentuzjasmowane tłumy nie odstępowały odtąd ani na krok Mesjasza chcąc Go koniecznie obwołać królem. Z jednej strony imponował im monarcha potężny i cudotwórczy — a z drugiej pociągała nadzieja przyszłego dobrobytu materialnego: wszak tylko chodzić będziemy za Nim i słuchać mów Jego, a On zaopatrzy nas w żywność, odzienie i we wszystko czego tylko zapragną serca nasze.

Bez pracy i wysiłku żyć będziemy bezpiecznie i w ziemskich dostatkach. Tak rozumowali zaślepieni Żydzi.

Lecz Pan Jezus w zgoła innym celu dokonał cudu rozmnożenia chleba. Miało ono być zapowiedzią przyszłego ustanowienia Eucharystii, pokarmu niebieskiego, dającego żywot wieczny. — „Jam jest chleb, który z nieba zstąpił — mówią Boski Zbawiciel — kto będzie pożywał tego chleba, ten żył będzie na wieki!” (św. Jan 6,48-51). — Zdumienie ogarnia tłumy na tak niezwykle i nieoczekiwane słowa. Rozczarowanie ich potęgą się do najwyższego stopnia, kiedy Mistrz z Nazaretu nie tylko nie wyprowadza ich z tego postanowienia, ale nadto najwyraźniej objaśnia: „a chleb, który ja wam dam, jest ciało moje na żywot świata!” (św. Jan 6,51).

Znamy wszyscy epilog tego wydarzenia. Zgorszona rzesza tłumnie odstępowała Jezusa. Nawet uczniowie Jego zdają się wahać i łamać ze sobą. Ale Jezus nie odwołuje ani jednego słowa, choć gdyby miał co innego na myśli, aniżeli własne Swe ciało, mógł bardzo łatwo temu zapobiec. Powtarza ow-

szem raz jeszcze z naciskiem: „Zaprawdę powiadam wam: Jeśliście nie jedli ciała Syna Człowieczego i nie pili krwi Jego, nie będziecie mieć żywota w sobie. Bo ciało moje prawdziwie jest pokarmem, a krew moja prawdziwie jest napojem” (św. Jan 6,53-55). Po takich słowach, żaden z tych, co jeszcze pozostali, nie mógł już wątpić, że mowa tu o prawdziwym Ciele i Krwi Jezusa,

Nadzwyczajne wrażenie uczyniła mowa Jezusowa nawet na Apostołów. Mistrz wprawdzie widzi ich twarze i Boską swą mową przenika ich strwożone serca. A jednak jest nieustępławy. „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą! — Czy i wy chcecie odejść ode mnie?” Trudno! Jezus gotów utracić nawet wszystkich Apostołów ale słów swych odwołać nie może. — Wówczas występuje Piotr i w imieniu garstki wybrańców ze łzami w oczach oświadcza: „Panie! Do kogóż pójdziemy? Wszak Ty masz słowa żywota wiecznego. A przecież my poznaliśmy i wierzymy, iżś Ty jest Chrystus, Syn Boga żywego!”

Istotnie nic nie pomogą tu ludzkie syllogizmy, ani namiastka człowieczego rozumowania, wobec tak jasnych i oczywistych słów Boga samego.

USTANOWIENIE EUCHARYSTII

Minął rok od owej obietnicy. Wielu zapomniało o niej zupełnie, a niektórzy nie przykładali do niej znaczenia.



„Przyniosę kęs chleba i posilcie serca wasze”. (Rodz. 18,5.)

*„Bierzcie i jedzcie: to jest Ciało moje
Bierzcie i pijcie: to jest Kielich krwi mojej”. (św. Jan 6,53)*

Odbyła się Ostatnia Wieczerza. Dokładny jej opis mamy u wszystkich Ewangelistów. Co się tam dzieje? Oto rozgrywa się największe i najbardziej niezgłębione misterium świata. W przeddzień męki Bóg Wcielony bierze w Swe święte i czcigodne ręce chleb, oczy wznosi ku niebu, błogosławi go, łamie i daje uczniom swoim mówiąc: Bierzcie i jedzcie, to jest bowiem Ciało moje! (św. Mat. 26, 26). — I podobnie bierze kielich z winem, znowu dzięki czyniąc błogosławi i dając go obecnym mówi: Bierzcie i pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem kielich krwi mojej nowego Przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. (św. Mat. 26, 27—28).

Niedługa to historia, bo zaledwie w dwóch ujęta zdaniach, ale tonie w niej cały rozum, i serce i dusza ludzka jak kropelka wody w bezmiernym oceanie. Załamuje się w jednej chwili wszystko, co dotąd gra prawem, co pojąć mogła myśl ludzka! Oto chleb nie przestaje mieć swych przymiotów, swych postaci zewnętrznych, staje się w jednym momencie prawdziwym, żywym Ciałem Słowa Wcielonego. A wino nie tracąc swych cech, staje się żywą Krwią Zbawiciela.

Bóg Wszchemogący, który wszystko może, który wszystko wie — Bóg, który stworzył ziemię, niebo i wszechświat cały z niczego, który z prochu ziemi powołał do bytu człowieka technąc weń duszę nieśmiertelną, który umarłych wskrzesza i rozsiałym rozkazuje żywiołom, który wodę w wino

szlachetne przemienia i pięciu bochenkami chleba karmi do syta tysięczne rzesze ludu; Ten sam Bóg powiedział wskazując na chleb: „To jest Ciało moje”, a na wino: „To jest Krew moja”. Więc też inaczej być nie może, więc tak, jak mówi, musi być. „Bo u Boga nie masz nic niemożliwego!”

— Na nic — podkreślam — tutaj rozum i ludzkie dociekanie, trzeba koniecznie tak pojąć, jak mówi Bóg, choć tych słów nigdy nie zrozumiemy. Trzeba tu naprawdę wiary dziecka. Jeżeli sam Bóg najświętszy mówi, że tak jest, to winni je przyjąć ci, którzy się mienią chrześcijanami.

BÓG NAKAZAŁ PONAWIAĆ EUCHARYSTIĘ

Za mało byłoby dobroci Bożej dać garstce tylko wybrańców ową pierwszą na ziemi Komunię św. Zbawiciel chciał, by niezgłębione to szczęście stało się odtąd udziałem wszystkich ludzi aż do skończenia świata. — Więc podczas Ostatniej Wieczerzy Chrystus Pan „wyświęcił” pierwszych kapłanów. Nowego Testamentu dając im moc konsekrowania, to znaczy powtarzania i czynienia tego, czego sam przed chwilą dokonał, czyli przemienienia chleba i wina w Ciało i Krew Wcielonego Boga: „To czyńcie na moją pamiątkę” — mówi do nich, czyniąc z nich pierwszych szafarzy Najświętszego Sakramentu. Rzecz niepojęta! Bóg słabym i nędznym ludziom daje moc, władzę i nakaz dysponowania swym Ciałem i Krwią. — „To

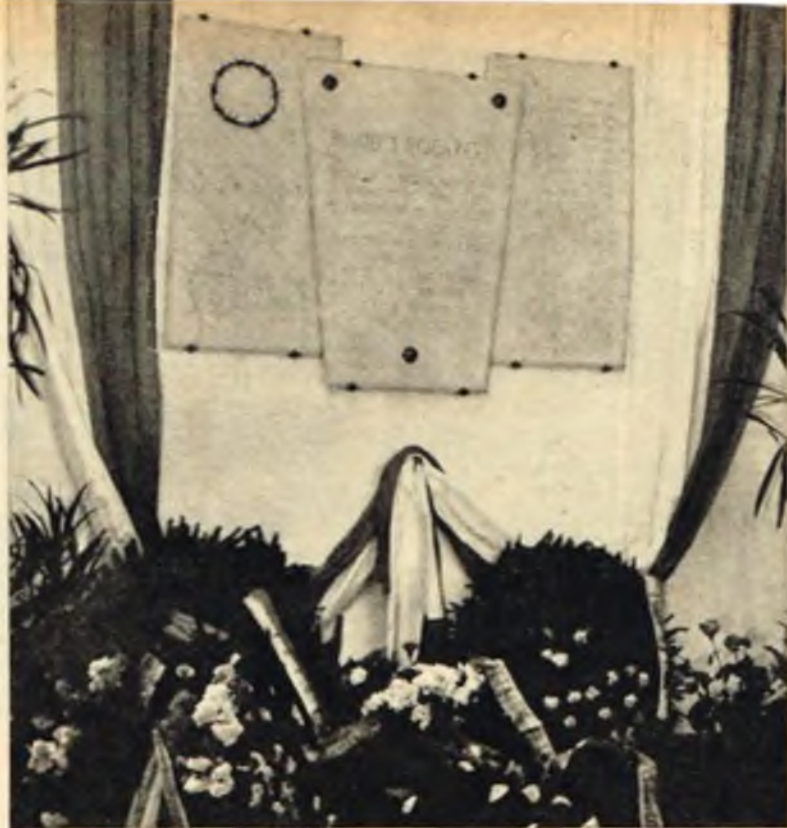
czyńcie” — Wy Apostołowie i następcy wasi biskupi i kapłani, „To czyńcie na moją pamiątkę”, bo ja Wasz Pan i Zbawiciel, włożyłem w usta Wasze — moje słowa własne. Bierzcie i pożywajcie, bierzcie i pijcie z tego wszyscy, którzy chcecie mieć cząstkę ze mną, którzy chcecie mieć żywot wieczny! „Bo kto pożywa Ciało moje i pije Krew moją, ma żywot w sobie, a ja Go wskrzeszę w dzień ostatni”.

Posłuszni temu rozkazaniu Apostołowie, Biskupi i Kapłani Nowego Przymierza nieustannie w imieniu Chrystusa Pana biorą do rąk swych chleb i wino i dzięki czyniąc błogosławią, spożywają go sami i innym go podają jako duchowy pokarm. I tak spełnia się wola Boskiego Pelikana, który Ciałem swym i krwią karmi swe ulubione pisklęta, to znaczy tych, którzy wierzą i przyjmują, że pod postacią konsekrowanego chleba i wina jest obecny Chrystus realnie i sakramentalnie. Tak wierzącym — kapłani Kościoła Polskokatolickiego mogą udzielać Najśw. Sakramentu.

Kończąc, pragnę jednak przypomnieć słowa św. Pawła Apostoła z listu do Koryntian: „Przeto, ktokolwiek by jadł chleb i pił z kielicha Pańskiego niegodnie, winien będzie Ciała i Krwi Pańskiej. Niechże tedy człowiek samego siebie doświadcza i tak niech je z chleba tego i z kielicha tego pije. Albowiem kto je i pije niegodnie, nie rozróżniając ciała Pańskiego, sąd własny je i pije”. (I—Kor. 11, 27—29).

Biskup TADEUSZ MAJEWSKI

Nabożeństwo ekumeniczne z okazji 25-lecia zakończenia wojny



Epitafium ku czci poległych w kościele św. Trójcy w Warszawie
Fot. E. Adamski

W niedzielę, 3 maja br., w ewangelicko-augsburskim kościele św. Trójcy w Warszawie odbyło się z okazji 25-lecia zakończenia II wojny światowej uroczyste nabożeństwo ekumeniczne z udziałem przedstawicieli kilku Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, poza ks. bp Andrzejem Wantułą i ks. sen. Ryszardem Trenklerem — proboszczem parafii św. Trójcy, w nabożeństwie uczestniczyło jeszcze kilku duchownych i liczne rzesze wiernych. Kościół Polskokatolicki reprezentowali: Biskup Naczelny — Julian Pękala i Biskup Ordynariusz Warszawski — Tadeusz R. Majewski, Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny — ks. Szymon Romańczuk, dyrektor Kancelarii Metropolity Warszawskiego i Całej Polski, Kościół Ewangelicko-Reformowany — ks. Bogdan Tranda.

Okolicznościowe kazanie, oparte o tekst Listu do Hebrajczyków 13, 7—8 i Psalmu 137, wygłosił ks. sen. Trenkler. „Zgromadzeni jesteście w świątyni — stwierdził na wstępie ks. Trenkler — która sama w sobie urasta do rangi symbolu. Wybudowana w drugiej połowie XVIII wieku, jest ona jak gdyby arką przymierza pomiędzy I Rzeczpospolitą, a Polską Rzeczpospolitą Ludową, w której nam sądzone jest żyć i pracować dla współczesnych i przyszłych pokoleń. Jest symbolem trwania, bo jak cała Warszawa legła w gruzach, aby w ciągu 25 lat jak Fenix podnieść się z popiołów — tak i ona... zamieniona została w ruinę, ażeby w krótkim stosunkowo czasie powstać nową, piękną, dostojną, radosną jak cała Polska”.

Są dwa aspekty 25 rocznicy zwycięskiego zakończenia II wojny światowej — powiedział dalej ks. Trenkler — jeden radosny, drugi bolesny. Radosny dlatego, że zbrodnicze zamysły odwiecznego wroga, który nigdy nie

mógł ścierpieć, że obok niego istnieje Polska i naród polski, nie ziściły się, że los przygotowany przez hitlerizm dla narodu polskiego nie mógł być wykończony. W bólach okrutnej okupacji i w cierpieniu walczącego bohatersko narodu zrodziła się nowa Polska, piękniejsza, Polska w nowych historycznych granicach, od Odry i Nysy Łużyckiej po Bug, od Karpat po Bałtyk, z wolnym, na zawsze z Macierzą złączonym polskim Gdańskiem. „Czy to nie powód do wielkiej radości, że ziemię, na których ongiś rozbrzmiewała mowa polska, gdzie przychodziły na świat i bawiły się polskie dzieci, ziemię, które później stopniowo wróg wyrwał z naszych rąk, rugując polski obyczaj i polską mowę, znów zaroili się polskimi dziećmi, polską, już tam zrodzoną młodzieżą. Wrocław, Opole, Szczecin, Gdańsk i Olsztyn, znów w pełni polskie miasta — to są dowody sprawiedliwości dziejowej i Bożej”.

Ks. Trenkler podkreślił następnie, że chociaż wróg został odepchnięty na bezpieczną odległość, to jednak niebezpieczeństwo istnieje nadal i wymaga od całego społeczeństwa stałej czujności i wyteżonej pracy. „W radosnej chwili naszej uroczystości chcemy Bogu podziękować za narodowe ocalenie ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, w jakim się naród nasz znalazł w latach 1939—1945, chcemy Bogu podziękować, za 25 lat pokoju i pomyślnego rozwoju społecznego”.

W swoim kazaniu ks. Trenkler stwierdził dalej, że obchodząc radosny jubileusz 25-lecia zakończenia wojny i powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy nie wolno nam zapomnieć, że to życie, którym dziś się cieszymy, okupione zostało niezwykłymi hekatombami ofiar, że być może nie należelibyśmy już do żyjących lub znosilibyśmy upokarzający żywot niewolników, gdybyśmy nie mieli boha-

terskich żołnierzy walczących na lądzie, morzu i w powietrzu. Wielu przypłaciło swoją postawę śmiercią. „Niektórzy mówią: Nie wspominajcie już o tym, zapomnijcie, wszak to budzi tak smutne refleksje i na nic się już nie zda. Jednakże byłoby bezprzykładną niewdzięcznością i śmiertelnym grzechem godzącym w patriotyzm, bohaterstwo i ofiarę życia zapomnieć o tych, którzy całymi miesiącami i latami, bici i maltretowani do ostatniego tchnienia, umierali powolną śmiercią, często głodową, i o tych, którzy jako żołnierze oddali młode życie na wszystkich frontach wojny. Zapomnieć o tych wszystkich? Można by trawestować słowa psalmisty: Jeżeli Ciebie zapomnę synu mój, córko moja, którzyście pewnego dnia wyszli z domu, mówiąc: żegnaj ojcze, żegnaj matko, do zobaczenia! — a którzyście już nigdy nie powrócili, gdybyśmy zapomnieli tych wszystkich rodaków, którzy krwawili i umierali jako marynarze, lotnicy, gdybyśmy zapomnieli straszliwych mąk i gorzkiej śmierć milionów więźniów w obozach koncentracyjnych... to „niech zapomni sama siebie prawica moja! Niech przylgnie język mój do podniebienia mego, jeśli bym o was wszystkich nie pamiętał” (Psalm 137).

W końcowej części kazania, ks. Trenkler powiedział, że ewangelicy warszawscy, pragnąc spłacić część długu wdzięczności wobec poległych postanowili wystawić skromne, lecz bardzo wymowne epitafium, poświęcone najpierw wszystkim tym, którzy gdziekolwiek w latach 1939—1945 życie swoje oddali za wolność Ojczyzny. Jest ono poświęcone wszystkim Polakom, bez różnicy wiary. Następnie jest ono poświęcone tysiącom ewangelików polskich, którzy tak samo jak inni umierali za Ojczyznę. „To skromne epitafium, tu na tym miejscu, w sercu Warszawy, niech świadczy o ich bohaterskim życiu i o ich męczeńskiej

śmierci”. Ze zrozumiałych względów nie można było wyryć na tablicach nazwisk wszystkich ewangelików polskich, którzy podczas wojny, w różnych okolicznościach, złożyli ofiarę swego życia. „19 nazwisk duchownych — stwierdził ks. Trenkler — stanowiących 20 procent ówczesnego ogółu księży ewangelicko-augsburskich, a wyrytych na tym epitafium, jest wymownym świadectwem ogromu tych ofiar, które niewielka społeczność polsko-ewangelicka złożyła na ołtarzu miłości Ojczyzny w latach ciemności i katastrofy narodowej. To oni, duszpasterze nasi, byli prawdziwie dobrymi pasterzami, skoro mimo nieludzkich nacisków nie zaparli się swojej przynależności narodowej, woleli ponieść śmierć, aniżeli zdradzić swoje ideały, którymi były: Bóg i Ojczyzna”.

Po kazaniu ks. Trenklera, przedstawiciele wymienionych na wstępie Kościołów, udali się w kierunku zakrytego jeszcze epitafium. Przemówienie, oparte o tekst I Listu do Koryntian 13, 13: „Teraz więc pozostaje wiara, nadzieja i miłość, te trzy; lecz z nich największa jest miłość” — wygłosił ks. bp Andrzej Wantuła. Stwierdził on, że świątynia jest miejscem, w którym uwielbiany ma być Bóg a nie człowiek. Wystawiając epitafium nie chodzi jednak o oddanie cześci ludziom. Ma ono przypominać o miłości, którą kierowali się oni, składając ofiarę swego życia za wolność Ojczyzny. Miłość jest najwyższym prawem Ewangelii. Od tych ziemnych tablic będzie odtąd bił żar miłości, która ludźmi tymi oświeciła. Po przemówieniu, ks. bp Wantuła dokonał odsłonięcia epitafium.

Następnie, przy dźwiękach „Marsza żałobnego” Fryderyka Chopina, do epitafium zaczęły podchodzić grupy wiernych, składając u jego stóp wieńce i wiązanki kwiatów. Uroczystość zakończono odśpiewaniem pieśni „Boże coś Polskę”. KAR.

Pod klinikę nie można było podjechać syrenką. Zbyt mało reprezentacyjna. Co by ludzie powiedzieli? — Widać córka to dla niego nic, że byle syrenką podjeżdża! — A więc — przynajmniej warszawa. I kwiaty koniecznie od Nowakowskiego. Nie codzienne tulipany i goździk, lecz wymyślona kompozycja obrzeżona delikatną koronką. Niech widzą! Niech siostry wrócą na salę i mówią: — Ale się mąż tej „ósemki” (to numer łóżka) wystawił! Ale się cieszył! Jak jaką królową, tak żonę z kliniki odbierał. A w domu — mówił — powitamy cię francuskim szampanem i tortem. Kolebkę też już kupiłem w Cepelii. — Położnice westchną, a ona będzie smakowała ten swój niewidziany triumf i wyobrażała sobie każde słowo i każdy uśmiech byłych współtowarzyszek...

Obmyśliła sobie to wszystko do najdrobniejszego szczegółu podczas pobytu w szpitalu. Czuta się doskonale i to, w jakiś sposób, w jej mniemaniu, wywyższało ją nad inne położnice. Co dzień więc dzwoniła do domu ze szpitalnego automatu i przekazywała mężowi rozkazy i polecenia aby potem skrupulatnie powtarzać je na sali i cieszyć się skrytą zazdrością innych kobiet.

Wózek więc, ale „kolebka”, i to nie jakaś tam kołyska wiklinowa, ale ręcznie robiona, rzeźbiona kolebka z Cepelii. (Wózek kupi ona sama aby i kolor i fason był oryginalny). Więc wanienska plastikowa w seledynowym kolorze i koronkowa kapka z prywatnego sklepu żeby można nią było „przrzucić” dziecko przy wypisie ze szpitala i triumfalnym pochodzie do auta. I dyspozycje — jakie kwiaty, jaki tort i żeby szampan koniecznie francuski.

Kwilla, rosła w atmosferze podziwu i tajonej zazdrości. Po wielokroć opowiadała o ciąży, a przede wszystkim o podjęciu decyzji posiadania dziecka.

Tak zwyczajnie — zapewniała — to każda potrafi. Wyjdzie za mąż, dziewięć miesięcy minie i... buch — jest dzieciak. Ale (i nie taka. Ona czekała do czterdziestego roku życia. Bo najpierw trzeba się było urządzić. Mieszkanie i wszelkie udogodnienia techniczne w gospodarstwie domowym. Potem raz i drugi pojechać na wczasy zagraniczne (żeby nikt nie mógł powiedzieć, że był, widział, a oni nie). Następnie okazało się, że nie można żyć bez samochodu. Ale to nie była łatwa sprawa. O nie! Wystarczyło tylko na syrenkę i tego nie mogła mężowi darować. Powiedział, że dla niego syrena to zupełnie dosyć. Po raz pierwszy od czasu ich ślubu oświadczył, że ani myśli „zarzynać się” na fiata, a splacanie rat za mniejszy samochód ma tę zaletę, że trwa krócej. A potem, gdy w końcu raty były już splacone, a ona oglądała się w Związku Kynologicznym za kupnem odpowiednio eleganckiego psa, wyskoczył ni mniej ni więcej, tylko z... dzieckiem! Cóż to za argument, że małżeństwo nie tworzy rodziny, zanim nie dopelni się dzieckiem? Cóż to za argument, że on ma już 45 lat

i chce wreszcie żyć dla swego następcy, widzieć własnego syna czy córkę jak rośnie, rozwija się, dorósł? Była oburzona. Bo jakżeż tu jeździć na atrakcyjne zagraniczne wycieczki własnym samochodem i z „twarzowym” psem, jak tu liczyć, że mąż w końcu złamie się i będzie można pomyśleć o modniejszym aucie — gdy jemu zamarzyły się pieluchy!

Więc odpowiedziała — nie! Ale i on był uparty. Przez kilka miesięcy sąsiedzi mieli okazję słyszeć głośne odgłosy kłótni, a nawet oglądać rzecz dotąd niespotykaną — pijanego sąsiada wracającego do domu nad ranem. Wówczas, widząc, że całe ich dotychczasowe życie ulega rozprzeżeniu, zaproponowała mu spokojną, rzeczową rozmowę. — Zgodzę się — powiedziała — na tę ofiarę, jeżeli mnie przekonasz. — Od tych jej słów mąż zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Znow jak za czasów narzeczeńskich był troskliwy i czuły, ustępował jej w drobiazgach, lecz na wszelkie opowieści o niedogodności posiadania dziecka, odpowiadał niezmiennie — albo się zdecydować, albo rozwód!

Uległa więc, bo naprawdę nie chciała stracić tego wszystkiego co przez te wszystkie lata zdobyli razem i po pewnym czasie spostrzegła, że jej nowa sytuacja wcale nie jest do pogardzenia. Czuli mąż, drżący nad jej każdym krokiem, uprzedzający wszelkie życzenia, zaciekawione przyjaciółki nie szczędzące dobrych rad i ona... ona w aureoli poświęcenia. Ach, te wizyty coraz to u innych lekarzy! Te kawkki z przyjaciółkami gdy mogła bez przeszkód rozwodzić się nad swoim „słabym zdrowiem” i „niebezpieczeństwem” jakie nad nią zawisło z winy męża-tyrana! Te napady złego humoru, które mąż znosił cierpliwie i możność obarczenia go winą za wszystko, dosłownie za wszystko!

Ani się spostrzegła i nic nie przygotowała, gdy nagle pewnego wieczoru poczuła się naprawdę źle i mąż bladej jak ściana, przerażony i gotów — gdyby to tylko było w jego mocy — odwrócić bieg wydarzeń, odwiózł ją do szpitala.

Po porodzie poczuła się bohaterką i tak też nazwał ją mąż w pierwszym liście. Choć wszystko przebiegło jak najbardziej normalnie i w porównaniu z innymi kobietami stosunkowo łatwo, sprawiło jej dużą satysfakcję opisywanie mężowi przez telefon różnych okropności, jakie się jej rzekomo przydarzyły, a których, tak naprawdę, nasłuchiwała się od innych pacjentek.

Mąż z jej przyjaciółkami zrobił spis wyprawki, biegał po sklepach i kupował, mąż co dzień przysyłał kwiaty i jeszcze zdążył odmalować farbą emulsyjną przysyłany pokój dziecka i dokładnie wysprzątać mieszkanie.

Teraz jechała warszawą dumnie rozparta, z przepięknym bukietem w ręce, a na tylnym siedzeniu jedna z przyjaciółek pla-



Wyma- rzone czy... wymu- szone?



stowała dziecko okryte koronkową kapką.

Mąż co chwila odrywał wzrok od drogi i z rozrzwaniem spoglądał na nią. W domu wszystko było przygotowane tak, jak sobie życzyła — kwiaty, francuski szampan, ogromny tort, a ponadto triumfalny marsz z płyty, którą na dźwięk dzwonka włączyła druga przyjaciółka. Siady więc zaraz do kawki, którą podawał wzruszony mąż i szampana, no i zagłębiły się w opowieściach. Dziecko wyjęte z pożyczonego becika i ułożono w kolebce.

Po jakimś czasie odezwało się. Popłakiwało cicho, popłakiwało i nagle rozkrzyczało się żałośnie. Mąż podbiegł do rzeźbionej kolebki i stanął bezradny. Bał się dotknąć tej kruszyny.

— Marysiu — powiedział mieszmiało, podchodząc do żony. — Może ona jest głodna?

Spojrzała na przegub ręki. — Karmienie dopiero za godzinę — skostatowała niedbale i wróciła do przerwanej rozmowy.

Wrócił więc i patrzył na małą twarzyczkę czerwieńszą coraz bardziej i nowarte usteczka. Wreszcie niezgrabnie odchy-

lił kocyk i wsunął rękę pod małeńkie ciałko.

— Ona jest mokra! — zawołał głośno, szczęśliwy, że odkrył powód płaczu. — A czy pieluchy są? — zapytała żona. — Są, są — odpowiedział i już niósł cały stos z szafy.

Dopiero gdy wyjęto dziecko z kolebki okazało się, że nie ma w niej ani ceratki, ani plastiku. Poślanie było przemoczone, żona wściekła. Szybko kazała mu znaleźć jakąś plastikową torbę, położyła ją na mokre prześciera-
delko, przewinęła dziecko, położyła i wróciła do pogawędki i szampana. On pozostał. Patrzył na tę kruszynę, na to wyte-
sknione, wymarzone maleństwo, a z drugiego pokoju wciąż prze-
bijał głos żony i powtarzane ustawicznie „ja”, „ja”. I wtedy nagle pomyślał, że dziś jest 1 czerwca — Dzień Dziecka, a za-
razem dzień spełnienia jego naj-
gorętszych pragnień i pierwszy dzień trudnego życia jakie mają przed sobą: On i Ono.

Nie pomyślał My i Ono...



Styl nijaki

Szkoła — stylu kłóciła
ze szkołą natchnien
Zarzucając jej dziką niepopr
ność. — Ale!... Potomni
są tylko grobami z kamie
Ciosanymi cierpliwym dłu
doskonale:

Są oni pierw W s p ó ł c z e ś
których przeznaczenia
Od do — rażnego w ch
że zależą słowa;
Przestawa być wymowną sp
niona wymowa!

Cyprian Nor

Międzynarodowy Dzień Dziecka obchodzimy zawsze 1 czerwca już od wielu lat. Naszych milusińskich fetujemy paczkami zawierającymi słodycze i zabawki, cieszymy się ich radością z zabaw dla nich w tym dniu urządzanych i... spokojnie zasypiamy, świadomi dobrze spełnionego obowiązku wobec przyszłości świata. Ale przecież jest to „Międzynarodowy Dzień Dziecka”. Dzień przypominający o wspólnej odpowiedzialności wychowawczej wobec wszystkich dzieci zrodzonych na Ziemi, dzieci — przyszłych, pełnowartościowych obywateli Świata.

Przypatrzymy się kilku tylko zdjęciom:

Ten kalejdoskop wizualnych wrażeń jest obrazem dzieciństwa różnego, w różnych punktach Ziemi. Także w chwili, która zwie się „Międzynarodowym Dniem Dziecka”.

I jeszcze kilka przypomnień. Nasi nauczyciele alarmują: coraz częściej zdarza się, że uczniowie, czując się „sfrustrowani” żądają od rodziców, jako rekompensaty złapanej „dwójki”, zainteresowania materialnego; nowego ciucha lub czegoś w tym stylu (czyt. motocykla, skutera, itp.). Agencje prasowe donoszą: młodzież szkół średnich w Rzymie masowo niszczy narkotyki. Na Sycylii są dzieci i młodzież, które nigdy nie widziały podstawowego środka ekonomicznej wymiany międzyludzkiej, pieniądza, gorzej — koc, materac,

poduszkę poznali dopiero później, w więzieniu. Hippiesi, życiem pozornie niezależnym, ogłaszają bunt wobec przemocy zmaterializowanego świata. Terroryzują społeczeństwo nieróbstwem, masowym żebractwem i nową moralnością — amoralnością, wypływającymi z przesytu materialnego, a ubóstwa intelektualnego i niedosytu duchowego.

Tragiczny to wyraz i takich zależności ekonomiczno-kulturowych dzisiejszej doby.

W świecie bogatym materialnie coraz szersze kręgi zatacza moda podporządkowania się stylowi. Jakiemu? Odpowiedzią niepokojące wieści w prasie. W „Międzynarodowym Dniu Dziecka” niech głos zabiorą przede wszystkim mali obywatele walczącego Wietnamu, walczącej Zjednoczonej Republiki Arabskiej, zagłodzonej, wyczerpanej Biafry, niedożywionych Indii, dyskryminowane dzieci Apartheidu, wszystkie dzieci, które nieświadome jeszcze niczego, u progu życia doświadczają krwawo dziejowej niesprawiedliwości społecznej. Przecież to także dzieci jednej Rodziny Człowieczej. Młodzieży w tym dniu życzyć by: „...szkoła natchnienia” zapobiegła „spóźnionej wymowie”, by wiersz Norwida „Styl nijaki” obcy był jej działaniu, wspomnieniu i refleksjom.



As.

DZIECI I



RODZINY CZŁOWIECZEJ

Polska tamtych lat

Z końcem XVIII w., po upadku Polski szlacheckiej, każda z trzech dzielnic, zmuszona została do podjęcia roli służebnej wobec poszczególnych zaborów.

Zabór pruski służył jako rolnicze zaplecze niemieckiego przemysłu. Ze wszystkich dzielnic Polski porozbiorowej wysunął się on na pierwsze miejsce tak pod względem poziomu kultury agrarnej, jak i pod względem organizacji pomocy kredytowej itp.

Stało się to jednak kosztem dużej części masy chłopskiej i polskość w ogóle.

Uwłaszczenie chłopów i związana z tym zmiana stosunków feudalnych na kapitalistyczne dokonywała się w Wielkopolsce drogą długoletniego rugowania z ziemi chłopów małorolnych i obdarowywania tą ziemią właścicieli folwarków.

Uwłaszczeni, bogatsi chłopci oddawali 1/3 swej ziemi obszarownikom, a ponadto musieli wypłacić olbrzymi okup z zboża i pieniędzy.

Niezależnie od tego odebrano chłopom serwituty. Ciężary takie niszczyły pełnowartościowe gospodarstwa. Wiele z nich spadało do rzędu karłowatych, których więc ilość poważnie wzrosła. Gospodarstwa, które zdołały się utrzymać, przeobraziły się w drobnotowarowe przedsiębiorstwa kapitalistyczne wyszukujące bezrolną i małorolną biedotę wiejską.

Bismarckowska polityka germanizacyjna wobec Polaków, działalność sławnej Hakiaty, wykupywanie ziemi i osiedlanie kolonistów niemieckich powodowały nie tylko wyludnienie wsi z żywiołu polskiego, ale również przekształcenie części rodzin chłopskich w bezrolnych fernali lub zagrodników, emigrujących do Ameryki i miast niemieckich. W miastach przyjmowani byli z otwartymi ramionami przez socjalistów niemieckich i z ich pomocą wydawali w Berlinie „Polskiego Robotnika”. W sejmie Rzeszy „...ujmowali się ich postowie, Bebel przemawiający nierównie mocniej niż którykolwiek poseł polski, Liebknecht-ojciec, Ledebour i in. stałe za Polakami” (J. B. Marchlewski, Stosunki ekonomiczno-społeczne pod panowaniem pruskim, Lwów-Warszawa 1903, s. 373).

Tymczasem w Wielkopolsce tacy przywódcy narodu jak arcybiskup Ledóchowski, poszli w kierunku zdrady narodowej. Ledóchowski, chcąc pozyskać Bismarcka, jako sojusznika papieskiego w walce o odzyskanie państwa kościelnego, zakazał śpiewania w kościołach pieśni patriotycznych, wprowadził język niemiecki do seminariów duchownych, nakazywał głosować na kandydatów lojalnych wobec rządu pruskiego (S. Ignar; Kwestia rolna w Polsce kapitalistycznej — Warszawa 1952, s. 16—17).

Zabór austriacki stanowiła Galicja, peryferyjna dzielnica, w której przeważającą część gospodarstw wiejskich stanowiły gospodarstwa drobne, niepełnowartościowe. W 1902 r. było w Galicji aż 444 tysiące gospodarstw poniżej 2 ha, gospodarstwa, które przeciętnej rodzinie mogły dać utrzymanie zaledwie przez 3 miesiące w roku, a 389 tysięcy gospodarstw tej wielkości, że mogły zapewnić swym właścicielom utrzymanie najwyżej przez 8 miesięcy.

Ludność, która nie mogła żyć z roli, szukała pracy najemnej w majątkach obszarniczych lub w miastach, co przy braku

rozwinętego przemysłu nie było takie proste. Chłopi zadłużali się u lichwiarzy, a majątki ich licytowano.

W tej sytuacji biedota szukała ratunku w emigracji. W zaborze rosyjskim przemysł, szczególnie po 1864 roku, rozwinął się w szybkim tempie. Sprzyjały temu takie czynniki jak rozszerzenie rynku wewnętrznego po uwłaszczeniu chłopów, rozbudowa sieci kolejowej, jak również polityka celna rządu carskiego. Rosnąca wraz z rozwojem przemysłu liczba robotników rekrutowała się głównie ze wsi, z bezrolnych i małorolnych chłopów zmuszonych do dorabiania na utrzymanie rodziny.

Lecz i w tym zaborze panujący wyzysk robotników, nadmiar rąk roboczych na wsi i w miastach, szczególnie w momentach przejściowych kryzysów przemysłu, powodowały emigrację ludzi bardziej energicznych. Duży odsetek emigrantów ze wszystkich trzech zaborów kierował się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Według ogłoszonej we wrześniu 1909 r. statystyki Amerykańskiego Zjednoczenia Dzienników Obcojęzycznych liczba Polaków przebywających w Stanach Zjednoczonych wynosiła w 1909 r. 3 595 000 osób, zaś według kalendarza związkowego na rok 1910, w roku 1908 liczba Polaków wynosiła 3 063 000 osób.

Polskie środowiska emigracyjne w Ameryce stanowili w większości niewykwalifikowani robotnicy i małorolni chłopci. Ks. bp. Bończak, w 1923 r. w sprawozdaniu do władz kościoła, w sposób lapidarny charakteryzuje polskie wychodźstwo w USA. Po stwierdzeniu, że z polskich ziem emigrowały przeważnie chłopci najubożsi lub robotnicy, pisze: „...a z tzw. inteligencji pisarzyki gminne, subiecki sklepowi lub co najwyżej studenci. Pomiedzy nimi, jako też emigrującymi księżmi, było sporo takich, których wyjazd spowodowała perspektywa krat więziennych. Materiał taki, dość liczny, wpływa znacznie na poziom moralny naszej emigracji i każdy kto chciał ją sprawiedliwie ocenić, musiał to wziąć pod uwagę... Arystokracji duchowej ni rodowej tam nie mamy. Niski poziom umysłowy, brak wychowania, a więc szorstkie, brutalne walki stronnictw...” (księga pamiątkowa „33” Scranton, Pensylwania 1930 s. 151).

Charakterystyka powyższa, na pewno oceniająca słusznie emigrację, posiada jednak wadę polegającą na statycznym, a nie historycznym ujęciu zjawiska. Tacy byli emigranci w chwili przybycia, ale jak to się mówi — czas w miejscu nie stoi i ludzie zmieniają się. Zmiana warunków ekonomicznych i społecznych zmienia sposób myślenia człowieka. Na emigracji chłop polski musiał tworzyć takie instytucje, które mu były potrzebne dla utrzymania się w obcym środowisku.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej nie było instytucji państwowych ubezpieczających pracowników na wypadek nieszczęścia; choroby, śmierci lub kalectwa i dlatego dość wcześnie powstały tam organizacje polskie mające na celu wzajemną pomoc ekonomiczną i ubezpieczenie. Takimi organizacjami były: Polski Związek Narodowy, Polski Związek Emigracyjny, Stowarzyszenie Polaków w Ameryce, Zjednoczenie Polskie Rzymskokatolickie, Unia Polska Rzymskokatolicka, Sokół, Związek Młodzieży Polskiej, Związek Śpiewaków Polskich, Związek Polek i inne. Były to stowarzyszenia wzajemnej pomocy.

Ponieważ środowiska emigracyjne powstawały na zasadzie sprowadzenia z kraju krewnych, powinowatych i znajomych, dlatego też zawiązywanie powyższych organizacji było stosunkowo łatwe. Tym niemniej, nowe warunki społeczne i działalność wspomnianych organizacji wychowała nowy typ człowieka-obywatela, uspołecznionego, gorącego patriotę, którego umiłowanie ojczyzny zostało wzmocnione oddaleniem od rodzinnego kraju.

Snując powyższe rozważania nie możemy jednocześnie zapominać, że zdecydowaną większość emigrantów stanowił element najinteligentniejszy, najbardziej przedsiębiorczy. Warunki życia na emigracji rozszerzyły horyzonty tych ludzi, a ich sytuacja materialna ulegała wybitnej poprawie.

Tym niemniej ludzie tęsknili.

Lapidarnie lecz wzruszająco mówi o tym w cytowanym już sprawozdaniu ks. bp. Bończak: „Na Polskę patrzyliśmy przez pryzmat tęsknoty, idealizującej kraj rodzinny, przez książki i pisma sprowadzane z Polski, witane z upragnieniem, niby jaskółki wiosenne”.

Dla emigrantów wyjeżdżających z Polski okupowanej przez trzech zaborców, władza państwowa była jedynie aparatem ucisku społecznego i narodowego. Kościół w starym kraju stanowił jedyne miejsce, jedyną instytucję, gdzie chłop słyszał mowę polską. Dla chłopca kościół był często jedynym źródłem wiedzy o świecie. I choć zdarzały się niesnaski między ludnością a duchowieństwem, w sumie chłop wierzył, że obrońcą jego budzącego się patriotyzmu jest ksiądz-Polak i hierarchia kościelna.

Na emigracji, chłop chciał się czuć jak w swojej wsi rodzinnej i dlatego parafia była dla polskiej emigracji częścią starego kraju, która miała im zastąpić wszystko, co zostawili. Ważna była rola organizacji społecznych, lecz nie tak duża jak rola parafii. W salach parafialnych skupiało się życie rodzinne społeczności patriotycznej, która nie chciała utonąć w morzu obcych. Niewykwalifikowany robotnik-emigrant jedynie w gronie swoich mógł cokolwiek osiągnąć. Stąd też brała się zasada ekonomicznego i politycznego popierania swoich. Wszystko to zaś łączyło się z życiem parafii, a z wysokością opłat wnoszonych na rzecz parafii wiązało się poczucie swej wartości jako parafianina.

Reasumując powyższe należy podkreślić, że emigracja polska w USA przez prace społeczne i polityczno-ekonomiczne w organizacjach świeckich, w życiu parafialnym, rozwijała się umysłowo i stawała zamożniejsza. Utrzymywane kontakty ze starym krajem, tęsknota za nim, jak również lęk przed obcym środowiskiem wzmagaly uczucia patriotyczne.

Taka była ogólnie mówiąc, emigracja polska w USA, emigracja wśród której narodził się Kościół Polskokatolicki.

JAN JANOWSKI



STARY DOKTÓR

5 sierpnia 1942 roku z Domu Sierot przy ul. Śliskiej w Warszawie, znajdującego się na terenie ówczesnego getta, wyszedł i przeszedł po raz ostatni ulicami Warszawy, na punkt przeładunkowy skąd transportowano ludność do obozów śmierci, zespół dwustu wychowawców w Zakładzie z ich wychowawcami Henrykiem Goldszmitem (znanym pod pseudonimem Janusza Korczaka) oraz Stefaną Wilczyńską. W tym tragicznym pochodzie na śmierć, który odbywał się w sierpniowym upale wśród krzyków i uderzeń kolbami hitlerowskich oprawców, gdzie wleczono się, przystawano i znów podążano dalej, gromadka dzieci z Domu Sierot wyróżniała się z wszystkich idących. Wiadomo ze słów nauceknych świadków, że dzieci szły w kąnym szyku, spokojne i zdyscyplinowane, podążając ufnie za swoim Panem Doktorem. Janusz Korczak szedł przodem niosąc jedno z młodszych dzieci, później prowadził za rączki dwoje małych. Dzieci robiły wrażenie odświętne. Podobno były ubrane w szare mundurki i miały przewieszzone na ramionach niebieskie torbki. Czy zdawały sobie sprawę z tego co je czeka? Starsze na pewno tak. Młodszym być może, opowiadał Pan Doktor, że idą na wycieczkę, lub na wies... Na punkcie przeładunkowym (Umschlagplatz) obok podstawionych wagonów do transportu, który miał przewieźć wysiedlonych do obozu zagłady w Treblince, odwołano Doktora proponując mu zwolnienie. Był znanym i szanowanym lekarzem, mógł się Niemcom jeszcze przydać. Treść rozmowy nie jest znana, wiadomy jest tylko jej wynik. Korczak bez wahania odmówił. Zresztą niewątpliwie decyzję tę podjął już znacznie wcześniej. Od młodości bowiem poświęcił całe swoje życie gromadce proletariackich dzieci i w obliczu zbliżającej się nieuchronnej śmierci pozostał z sierotami, z którymi z kaźni getta przez dymiące krematoria Treblinki poszedł prostą drogą do wieczności.

Janusz Korczak wraz z dziećmi z Domu Sierot i grupa najbliższych jego współpracowników

ponieśli męczeńską śmierć w komorze gazowej. Jednakże w chaosie wojennej, ogólnej zagłady pozostała wiecznie żywa legenda o Starym Doktorze — wstrząsająca historia śmierci Janusza Korczaka i jego dwustu dzieci... Pozostała pamięć o bohaterskiej i pięknej postawie tego wielkiego Wychowawcy i Człowieka, pozostała jego twórczość pisarska.

Janusz Korczak pisał także pamiętnik 21 lipca 1942 roku, w przededniu swych sześćdziesiątych czwartych urodzin i swej śmierci zrobił jakby obrachunek swego życia dzieląc je na siedmioletnie etapy. Pochodził ze środowiska inteligentckiego, ale dzieciństwo miał ciężkie i smutne. Wcześniej stracił ojca i musiał zarabiać korepetycjami na utrzymanie całej rodziny. Studiował medycynę, ale interesował się zawsze pedagogiką. Wreszcie zaczął pisać przyjmując pseudonim Janusz Korczak. Pisał artykuły w prasie i książki, krytykując burżuazyjne wychowanie, głupotę i snobizm rodziców — gdyż już wtedy dziecko wysunęło się na pierwszy plan jego zainteresowań, już wtedy rozumiał, że zreformować świat to znaczy zreformować wychowanie.

Korczak młody i gwałtowny rozpoczął walkę o prawa dziecka do szacunku i wolności — przenosząc swą działalność na teren szpitala i sierocińca. W roku 1911 powstał przy ul. Krochmalnej DOM SIEROT, w którym przebywało sto dzieci. Dom stworzył Korczak, on go zorganizował i tu wraz z nielicznym personelem podjął trud wychowywania proletariackich sierot. Ten Dom był prawdziwym domem rodzinnym, w którym panu Doktorowi przypadła rola ojca i trzeba powiedzieć, że spełniał ją rzetelnie, z całym nakładem troski i uczucia. Dzieci wznosiły tu i wychowywały się w atmosferze miłości i zaufania, bezpieczeństwa i szczęścia pod kierunkiem i według metod pedagogicznych Korczaka i jego najbliższej współpracownicy Stefanii Wilczyńskiej. W roku 1919 powstał drugi dom NASZ DOM w Pruszkowie. Oddał Janusz Korczak poświęcił się całkowicie wychowywaniu sierot, oddał im całe swoje pracownicze życie i z nimi podzielił

tragiczny los śmierci w obozie zagłady.

Wierny idei ukochania człowieka w dziecku Janusz Korczak stworzył swój własny system pedagogiczny. Powołany po II wojnie światowej Komitet Korczakowski, którego zadaniem jest popularyzowanie postaci Janusza Korczaka wśród nauczycieli i wychowawców ogłosił konkurs pt. „Co mi dał Janusz Korczak”. Celem konkursu było ustalenie o ile zasady i metody pedagogiki Starego Doktora są aktualne obecnie — w naszych szkołach, domach dziecka i zakładach wychowawczych. Konkurs podsumowała broszura pod tym samym tytułem. Zamieszczone w niej wybrane wypowiedzi pedagogów i wychowawców świadczą przede wszystkim o powszechnym uznaniu dla Janusza Korczaka — Wielkiego Pedagoga, świadczą o tym, że choć od lat sam nieobecny, swymi dziełami nadal pomaga wszystkim zajmującym się dziećmi w rozwiązywaniu trudnych sytuacji wychowawczych.

A oto jakie są główne zasady pedagogiki Korczaka: Poznanie, szacunek i miłość dziecka. Korczak uznając potrzebę stopniowego tworzenia właściwych postaw dzieci w prowadzonych przez siebie zakładach rozszerzał i doskonalił różne formy samoopanowania się dziecka. Techniki stosowane w jego systemie wychowawczym to przede wszystkim zorganizowanie samorządu uczniowskiego, przygotowywanie cotygodniowej Gazety, plebiscyty, stopnie, tzw. kwalifikacje obywatelskie i zakłady. Do drobniejszych form samowychowywania należą: „lista wczesnego wstawania” i „lista bólek”, które miały na celu ćwiczenie woli.

W ten sposób, drogą stopniowych ćwiczeń Korczak dążył do tego aby stworzyć dziecku warunki umożliwiające mu przewycięzanie wad, aby wychowanek odnosząc zwycięstwa nad sobą, mógł dążyć do poprawy i doskonalenia swojej osobowości. Bardzo interesujące są „zakłady” rodzaj umowy ustnej lub pisanej zawieranej przez wychowanka ze samym sobą w obecności Doktora. Dziecko zo-

bowiazywało się do przestrzegania norm w życiu własnym czy we współżyciu i współdziałaniu z innymi dziećmi z Domu. „Zakłady” dotyczyły złych stopni, brzydkich słów, czasem spraw intymnych — niewiadomych. Było to — jak określił przyjaciel Korczaka Igor Neverly — coś ze spowiedzi i coś z meczu... Korczak słuchał zwierzeń, radził, protokołował i wypłacał wygrane cukierki, trzy za grosz, po prostu symbol. Zakłady, wielkie zmagania dziecka z samym sobą zmierzaly do przełamywania wewnątrznych oporów, pokonywania wad i złych skłonności, dawały doskonale wyniki wychowawcze. Oczywiście poza systemem Starego Doktora o wynikach decydowała i nadal decyduje także praca wychowawcy, jego takt i znajomość dziecka.

Wiele z tego co osiągnął Korczak w swojej tyloletniej pracy pozostało w jego dziełach i książkach ocalałych z pożogi wojennej. Pozycje pedagogiczne takie jak: **Momenty wychowawcze, Jak kochać dziecko, Prawo dziecka do szacunku, Pedagogika żartobliwa** i inne to kopalnia wiedzy i wskazówek dla rodziców i wychowawców.

Pisał także dla dzieci — **Bobo, Uparty chłopiec, Król Maciuś Pierwszy** i wiele innych książek pięknych, mądrych i trafiających do serc dziecięcych. Liczne wydano w Polsce, niektóre za granicą. Janusz Korczak bowiem był wyjątkowym człowiekiem, był człowiekiem wspaniałym. Łączył w sobie trzy zawody niezbędne w życiu każdego dziecka — był lekarzem, pedagogiem i autorem książek dla dzieci.

Związany z przeszłością i przyszłością Korczak, jako filozof, czuł się mgnieniem w pracy następujących po sobie pokoleń, dla którego śmierć w tym ujęciu była tylko chwilowym rozstaniem. Stał ponad czasem, który go zabił, ponad potworną zbrodnią, która zdruzgotała jego życie, ale nie zdruzgotała idei jaką wyznawał i która spoza grobu, bez miejsca i napisu, spoza dymów zagłady pieców krematoryjnych jest niezniszczalna, żywa.

O Mrówku kłameczuchu



Tego ranka, bo był to chyba ranek skoro całe gniazdo było złociste i zielone, Mrówek obudził się smutny z uczuciem wstydu i upokorzenia. Kosmatą łapką przetarł ledwo sypiący się wąsik, śmiesznie ruszył noskiem i powoli, powoli zaczął rozprostowywać swoje długie uszy. Nie cieszyło go nic: ani słońce, co tak ślicznie prześwietlało zielone liście kaliny, ani sikorka, która siedząc nisko na gałązce, wypięła modry brzuszek i stroiła tak śmieszne miny, że dwie ciemne łatki zdobiące jej łebek robiły się malutkie jak kropelki. Z tego wstydu nie chciało mu się nawet oczyścić uszu z kłaczek i źdźbeł trawy, którymi mama, gdy jeszcze nie było na świecie ani Mrówka, ani jego brata Kozaczka i siostry Muszki — tak pracowicie wymościła gniazdo. A trzeba wiedzieć, że Mrówek był ze swoich uszu niesłychanie dumny. Dlatego też czyścił je codziennie ogromnie starannie i bardzo dbał o to by zawsze były pięknie wyprostowane, by broń Boże nie złamało, albo nie przekrzywiło się któreś z nich! Nawet znajome mamy, starsze panie Zajęczycy, ilekroć spotkały Mrówka zawsze mówiły: drogi Mrówku, na tak młodego zajaczka masz niezwykle piękne uszy... i kicając śmiesznie od krzaka do krzaka biegły dalej z gracją poruszając krótkimi ogonkami.

Nic więc dziwnego, że Mrówek najbardziej lubił siadywać sobie na samym skraju lasu, gdzie zawsze wiosną woda wylewała na łąkę. Ta woda była prześliczna. Po wierzchu błękitna, dołem zielona od zalanych nią traw. Odkrył, że wystarczy przycupnąć na brzegu, by zobaczyć — zupełnie jak prawdzi-

we — odbite w wodzie swoje długie, piękne uszy.

Żeby to chodziło tylko o uszy i samego Mrówka, może by jeszcze nie zachwycał się tym tak bardzo. Ale łąka cała była pokryta złotymi błyszczącymi w słońcu kaczeńcami.

Wspaniałe, długie uszy Mrówka okolone złotymi kaczeńcami przedstawiały dla niego widok tak zachwycający, że nie mógł ani na chwilę oderwać oczu od swego odbicia. Potrafił tak siedzieć i siedzieć całymi godzinami i myśleć sobie tylko jedno: jakie ja mam piękne uszy, to są na pewno najładniejsze, najbardziej niezwykle zajęcze uszy jakim udało się urosnąć na jednej, jedynej zajęczej głowie. A ta jedna jedyna głowa należy do mnie, do Mrówka. Gdy zachodziło słońce, uszy Mrówka, prześwietlone nim, różowiły i nawet widać było cieniuteńkie na nich żyłki.

Za najbezpieczniejsze miejsce uważał to, w którym rosły niskie trzciny. Ich zeszłoroczne, płowe kwiaty były prawie takiego samego jak on koloru. Największy kłopot sprawiał mu biały z daleka widoczny brzuszek. Toteż, żeby go ukryć, stawał najczęściej słupka i dwie przednie zawieszane łapki znakomicie zasłaniały nieszczerzny biały puszek na brzuchu.

Do domu wracał dopiero, gdy już od tego stania słupkiem zdrętwiały mu zupełnie plecki, a w brzuszku zaczynało bureczeń z głodu. Wtedy nagle przypominał sobie, co powie mama, że go cały dzień ani w domu, ani w

poblizu nie było. Im więc bliżej domu, tym bardziej Mrówek zapominał o własnych uszach. Jego malutkie zajęcze serduszko coraz szybciej biło ze strachu o wiele potężniejszego niż on sam, potężniejszego nawet niż mama, a nawet tata. Jego niewielki rozumek zaczynał szybko pracować, jak wytłumaczyć mamie, że tak długo go nie było.

Szusnął z jednej miedzy na drugą i nagle... aż przystanął olśniony. Już wie. Słyszał wczoraj, gdy jedna pani Zajęczyna skarżyła się mamie, że jej troje młodszych od Mrówka — dzieci choruje. Trzeba więc powiedzieć, że ta pani Zajęczyna musiała załatwić coś ogromnie ważnego, a on musiał zostać, by przypilnować jej dzieci. Znakoomicie to sobie wymyślił! Przestał więc biec jak szalony, mimo że wieczór zrobił się już zupełny. Dookoła było cichutko i nawet te obzartuchy, szpaki, pewno już spały — wiadomo one tylko wtedy nie jedzą kiedy śpią — bo nigdzie ani jednego nie widział.

Przecisnął się pod szerokimi liśćmi kaliny i już był w domu. Grzecznie ułożone jedno obok drugiego spały Kozaczek i Muszka. Tylko miarowo podnosiły się i opadały im brzuszki. Mamy, może to i dobrze, nie było w domu. Mrówek położył się, ale zupełnie inaczej niż tamci. Położył się na boczek, przednie i tylne łapki wyciągnął sztywno — niby taki zmęczony — lepek przekrzywił.

Wyglądał zupełnie jak niezwy. Nic więc dziwnego, że gdy zobaczyła go mama — krzyknęła przerażona: Co ci się stało, moje drogie dziecko? I tu Mrówek zaczął swoją opowieść o chorych dzieciach pani Zajęczyny i o tym jak to on nieborak musiał je cały dzień pilnować. Już miał na tym skończyć, lecz tak się zagalopował, że dodał: to są bardzo niedobre dzieci, takie rozkapryszone, nieznośne.

Mama nie tylko uwierzyła, ale nawet pochwaliła go i kochaną, mięciutką i kosmatą łapką pogładziła jego zakurzone futerko. Mógł więc teraz spokojnie chodzić sobie codziennie nad wodę. Przeglądać się w niej z coraz większym zachwytem. Tym bardziej, że uszy mu rosły i rosły. Można powiedzieć, piękniały co godzina. W równy zachwytem wprowadziło go, gdy spostrzegł, iż wąsy, które do niedawna wy-

glądały jak delikatny meszek, stają się sterczące i twarde. Jeśli chodzi o mamę, to był zupełnie spokojny.

Po chorobie pani Zajęczyny wymyślił, że zaniemogły młode szczygły, później powiedział, że synek pani Wiewiórki — Orzeszek złamał ogon. Wreszcie, że pani Kuropatwa prosiła go, by nakarmił jej pisklęta. Zupełnie, jakby wszystkie dzieci ptaków i zwierząt uległy jakiejś epidemii.

Oczywiście, że zawsze on — mały zajaczek — musiał być im pomocny. Dlatego też mama i pozostałe rodzeństwo nazwali go Mrówkiem. Niby, że taki pracowity. Bo nikomu nie przyszło do głowy, że wszystkie godziny, dni i tygodnie Mrówek spędza nad czarodziejską wodą i tam rozpałtuje swoją urodę.

Aż wczoraj — było to w samo południe, słońce świeciło wprost w wodę i właśnie najpiękniej wyglądały uszy Mrówka — stało



się coś niezwykle. Najpierw usłyszał, jak z kępy drzew zsunęły jakieś dwa zajęcze. Pomyślał nawet, że wydają mu się znajome, ale tak był zajęty przeglądaniem się w wodzie, że nawet nie chciało mu się za nimi obejrzeć. Po pewnym czasie, usłyszał jakiś świergot i ze zdumieniem spostrzegł obok swoich, odbitych w wodzie uszu, pyszczek pani Zajęczyny, pani Wiewiórki i mamy. Wszystkie trzy kiwały głowami ze zgorzienia. Aż uszy poczerwieniały mu ze wstydu, gdy w świergotcie ptaków wyraźnie usłyszał piskliwe głosy swego rodzeństwa. Całkiem głośno i wyraźnie — najpierw oni oboje, a później już wszystko, co żyło w lesie powtarzało: Mrówek — półgłówek, Mrówek — półgłówek, Mrówek...



PRZYJACIEL CZY WRÓG CZŁOWIEKA?



Chyba nie ma dziś w naszym kraju obywatela, który by nie zabierał głosu, jeśli nie w prasie, radiu i telewizji, to przynajmniej w gronie znajomych lub członków najbliższej rodziny, na sporny temat: czy pies jest przyjacielem, czy też wrogiem człowieka? Zdania w tej sprawie są oczywiście podzielone i najczęściej skrajne. Z powodu psiego problemu jedność narodu została zachwiana. Nawet zdawałoby się rozsądna na ogół rodzina radiowych Matysiaków uległa namiętnościom i surowo potępiła tych, którzy proponują nałożenie jakiegoś, np. fiskalnego kagańca na naszą sferę w.

Sędno sprawy polega na tym, że pies może być i wrogiem i przyjacielem człowieka. I kim to zwierzę jest, zależy nie od niego, lecz właśnie od ludzi. Pies walęsający się, gryzący dzieci i dorosłych, tępiący ptactwo domowe i zwierzynę łowną — jest wrogiem człowieka. Szczególnie niebezpieczną rolę odgrywa pies jako roznosiciel wścieklizny. Tę niezwykle groźną chorobę wywołuje wirus, którego wielkość waha się od 100 do 150 milimikronów (milimikron równa się jednej milionowej części milimetra). Wskutek ukąszenia człowieka przez wściekłego zwierzę wirusy dostają się do gałązek nerwów skórnych i wędrując wzdłuż pni nerwowych, docierają do rdzenia, a następnie do mózgu. W typowym przebiegu choroby można wyróżnić trzy okresy. A więc najpierw chory odczuwa dretwienie mięśni w miejscu ukąszenia i ból głowy. Trapi go także senność oraz utrata łaknienia. W drugim okresie choroby człowiek zara-

żony wścieklizną staje się nadmiernie pobudliwy. Występują u niego gwałtowne napady drgawek, pojawia się piana na ustach, a oczy nieruchomieją. Charakterystycznymi objawami tego stadium choroby są mimowolne ruchy kończyn, sztywność karku i niezwykle bolesne skurcze gardła, uniemożliwiające przyjmowanie posiłków i zaspokajanie pragnienia. Pojawiają się krwawe wymioty i wysoka, sięgająca często 42 stopni temperatura ciała, chociaż niekiedy gorączka może nie występować. Po jednym do trzech dni takich cierpień następuje trzeci, najkrótszy, przeważnie kilkugodzinny okres choroby. Chory nieruchomieje, ulega paraliżowi, zapada w śpiączkę i umiera. Niekiedy wścieklizna ma inny, nietypowy przebieg. Może np. od razu ujawnić się jej drugie stadium.

W 1885 r. wielki uczone Pasteur wynalazł szczepionkę przeciwko wściekliznie i od tej pory ludzkość odetchnęła z ulgą. Trzeba tutaj jednak podkreślić, że szczepienie przeciw tej chorobie jest skuteczne tylko wtedy, jeżeli nie wystąpiły jeszcze jej objawy. Po ujawnieniu się choroby, dla chorego nie ma ratunku. Musi umrzeć. Oto m. in. dlaczego tyle dramatyzmu mają w sobie komunikaty radiowe o pogryzieniu ludzi, a szczególnie dzieci przez psy. Właściciele takich psów z reguły pozostają głusi na kierowane do nich apele, aby przedstawili zaświadczenia o szczepieniu zwierząt przeciw wściekliznie. W rezultacie pogryziony człowiek musi przyjąć serię bardzo bolesnych zastrzyków. Szczepionkę wstrzykuje się przez 14 dni... Okres wy-

legania się wścieklizny trwa u ludzi zazwyczaj od 20 do 60 dni, ale zdarzają się wypadki, że choroba pozostaje utajona w ciągu całego roku lub jeszcze dłużej. Nie wolno więc lekceważyć ugryzienia i usypiać swej czujności zagojeniem się ran. Niestety, szczepienie przeciwko wściekliznie może wywołać u człowieka zapalenie mózgu lub rdzenia pacierzowego. Obawa przed tymi groźnymi powikłaniami zmusza rodziców pogryzionego dziecka, a także lekarza do zbadania w pierwszej kolejności sprawy pogryzienia, czyli psa. A jeżeli psa nie można znaleźć, ani jego właściciela? Wtedy trudno, nie ma już wyboru i trzeba przystąpić do szczepienia delikwenta...

Od 1949 r. obowiązuje w Polsce coroczne szczepienie psów przeciw wściekliznie. Od tego czasu wśród zwierząt domowych zanotowano 20-krotny spadek zachorowań na tę chorobę. Ale mimo to ciągle jeszcze stwierdza się każdego roku średnio 200 przypadków zachorowań na wściekliznę zwierząt domowych, głównie psów. W 1949 r. zmarło w naszym kraju na wściekliznę 66 osób. Ostatnio umiera na tę chorobę w ciągu roku kilka osób. Jaką dramatyczną wymowę miał nadawany przez radio apel, aby ludzie, którzy stykali się z pewnym młodym traktorskim z woj. koszalińskiego, niezwłocznie poddali się szczepieniu ochronnym przeciwko wściekliznie...

Wścieklizna jest chorobą szeroko rozpowszechnioną wśród dzikich zwierząt, a szczególnie wśród lisów, wilków i borsuków. Oto np. w 1966 r. naliczono w NRF 4 tys. wściekłych psów i borsuków, które epidemii tej choroby przeniosły do sąsiednich krajów. W początkach 1970 r. masowo zaczęły chorować na wściekliznę lisy we Francji. W departamencie Moselle trzeba było zarządzić trzymiesięczną obowiązkową kwarantannę wszystkich zwierząt domowych. Wypadki wścieklizny wśród dzikich zwierząt zdarzają się też w Polsce. Walęsające się po polach, łąkach i lasach psy stykają się z chorą zwierzyną łowną i przenoszą wściekliznę do zagrod ludzkich, oczywiście tylko te psy, które nie poddane zostały przez ich właścicieli szczepieniom ochronnym. Pies szczepiony każdego roku nie choruje na wściekliznę i nie roznosi tej choroby...

Jakież więc wnioski można wysnuć z tych smutnych refleksji? Przede wszystkim odpowiednie władze powinny na nowo rozpatrzyć problem walki z wścieklizną. Dotychczasowe posunięcia w tej sprawie opierają się na przepisie prawnym, wydanym... 43 lata temu. Jest to

rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 sierpnia 1927 r. o zwalczaniu zaraźliwych chorób zwierzęcych (Dz. U. nr 77 z 1927 r. poz. 673). Blisko pół wiekowe obowiązywanie tego aktu prawnego dobrze o nim świadczy, ale mimo to dojrzał już czas, aby problem ten oprzeć na bardziej aktualnych przepisach. Obowiązek szczepienia psów wtedy jest realny, jeśli zabezpiecza go skuteczna kontrola. Niestety, u nas ta kontrola ma charakter sporadyczny i odbywa się wyłącznie niemal w odniesieniu do psa, który pogryzł człowieka. Stanem zdrowia reszty ogromnej sfery psów, nikt się nie interesuje. W interesie społecznym leży, aby każdy pies nosił na obroży mały pojemnik, np. w postaci medalionu, w którym znajdowałby się uwierzytelniony odpis zaświadczenia o szczepieniu przeciwko wściekliznie z dokładnym opisem wyglądu tego psa. Na ludzi, którzy uchylają się od poddawania szczepieniom ochronnym swych czworonożnych przyjaciół trzeba nakładać surowe kary pieniężne. Właściciel psa powinien być pociągany do odpowiedzialności karnej, jeśli ten pies pogryzł człowieka. W parze z taką karalnością musi iść zakaz poruszania się psów w miejscach publicznych bez kagańców. O wydanie i egzekwowanie takiego zakazu społeczeństwo dopomina się od dawna, ale bezskutecznie. A tymczasem sprawa ta nie wymaga wcale zwoływania Sejmu, lecz leży w gestii nawet rad narodowych najniższego szczebla. Według szacunkowych obliczeń liczba psów może sięgać nawet 10 mln. Jesteśmy krajem za biednym, aby utrzymywać tak ogromną sferę psów. Tymbardziej że duża część tej sfery — to psy bezpańskie, opuszczone i zabiedzone i przez to wyrządzające wielkie szkody w gospodarce narodowej, a ponadto zagrażające bezpieczeństwu otoczenia.

W dyskusji na temat problemu psów w Polsce sporo zacieśnienia i nieporozumień wywołuje projekt reaktywowania zawodu hyla. W pojęciu niektórych ludzi nazwa ta kojarzy się z mianem kata psiego. Oczywiście, nazwę tę można zmienić, przede wszystkim dlatego, że brzmi ona obcojęzycznie i być może w przeszłości wykorzystywano ją do praktyk budzących wstręt. Ale obecna sytuacja wymaga po prostu, aby powołana została do życia instytucja czuwająca nad respektowaniem przez ludzi prawa, regulującego hodowlę psów i czuwającą nad tym, by psy nie zagrażały bezpieczeństwu społeczeństwa. Tyłko pies, który nie zagraża człowiekowi jest jego przyjacielem.

JERZY ALEKSANDER

ODPOWIEDZI LEKARZA

Pan A. T. ze Swierzyńca — leczony był Pan dotąd jak najbardziej prawidłowo. Sprawy neurologiczne są często trudne w leczeniu i nie od razu można uzyskać poprawę. Proszę nie tracić cierpliwości i nadal leczyć się, a może Pan mieć nadzieję, jeśli nie na całkowite wyleczenie to na bardzo znaczną poprawę.

Pani Z. W. ze Skaly — z zasady nie podajemy adresów lekarzy, dziecko Pani jest pod opieką specjalisty i nie więcej nie można zastosować z leków. Wszystko co potrzebuje otrzymuje. Czasami w okresie pokwitania stan może ulec poprawie. Niestety nie ma radykalnego leku na padaczkę.

Pan W. K. z Poznania — w Pana wieku nadmierne wydzielanie gruczołów łojowych, a co za tym idzie szybkie przetłuszczanie się włosów i tłusta cera, jest zjawiskiem dość częstym. Proszę myć co tydzień głowę w szamponie ziołowym. Nacierać skórę głowy na wieczór płynem „L-102”. Twarz po dokładnym umyciu przetrzeć 1 proc. spirytusem salicylowym. Może Pan też pić na noc herbatę z bratków polnych. Jedna łyżka na szklankę wrzątku. A prócz tego może Pan być spokojny, że te objawy i tak wkrótce same ustąpią z wiekiem. Naprawdę nie ma powodu do rozpacz!

Wynij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę lekarską.

ODPOWIEDZI PRAWNIKA

Pan J. W. Sierakowice — Jest rzeczą konieczną uregulować tytuł własności działki przez sporządzenie aktu notarialnego lub przez sądowe postępowanie o zaniechanie. Ponieważ sprawa jest prawnie skomplikowana radzimy się zwrócić o pomoc do zespołu adwokackiego.

Pani R. K. Działdowo — Testament można sporządzić w ten sposób, że pisze się go w całości piśmem ręcznym, podpisze i opatrzy datą. Można też sporządzić testament w formie aktu notarialnego. Można też sporządzić w ten sposób, że w obecności dwóch świadków oświadcza się swą wolę ustnie wobec przewodniczącego lub innego stale urzędującego członka prezydium rady narodowej w miejscu zamieszkania. Działkę budowlaną można darować za życia aktem notarialnym.

Pani R. K. Psary — Winna Pani brać pod uwagę tylko to co mówi adwokat i postąpić tak jak on radzi. Ze swojej strony nie możemy powiedzieć, bo nie znamy potrzebnych szczegółów. Istnieją przepisy o niedopuszczalności rozdrobnienia gospodarstw poniżej określonej wielkości dla danego terenu. O tym wie właśnie Pani adwokat.

Wynij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

Podanie o czorsztyńskim zamku

Dokończenie ze str. 16

widocznie walkę toczył z sobą, wreszcie głową potrząsnął.

— Nie! — rzekł stanowczo. — Ludziom mym, zarówno jak i mnie grozi zguba, a choć to rozbójnicy tylko, przecie wódzem ich jestem i w niedoli ich nie opuszczę!

— Bracie, czy chcesz, by ojciec nasz wiedział, kto hersztem był w Czorsztyńcu?...

Janusz z jękiem za głowę się chwycił.

— Co czynić?... Co czynić? — szeptał.

Spojrzał na twarz rannego technieniem śmierci już owianą i nagle postanowienie jakieś powziął.

— Nie lękaj się — rzekł spokojnie — ukryję się tak, że nikt nigdy mnie nie znajdzie — dodał z gorzkim uśmiechem.

Dzień się robił. Więc Janusz przeniósł brata do izby swej w wieży zamkowej, sam zaś do ludzi swych się udał.

— Zdradzeni jesteśmy — rzekł donośnym głosem — kto więc może, niech uciekają się ratuje, ja wyjdę ostatni.

Po tych słowach gwar się wszczął i trwoga straszliwa opanowała wszystkich — jeden przez drugiego do ucieczki się rwał, nie bacząc, że w ten sposób przyspieszyć może wtargnięcie nieprzyjaciela.

Wódz zaś na górę powrócił do brata, który leżał blady, nie dysząc już prawie. Janusz ukląkł u wezwłowia i z rozpaczą patrzył na to młode, drogie mu życie, uchodzące z chwilą każdą. Wtem gwar na dziedzińcu wzmógł się — można już było rozróżnić okrzyki trwogi i wściekłości, szczeł broni i huk wystrzałów; jednocześnie Staszek otworzył oczy.

— Biją się!... weszli już!... — szepnął i ręce na szyję brata zarzucił.

— Januszu — rzekł słabym głosem — odchodzę już!... Przyrzecz mi, że... uciekając stąd.. weźmiesz i mnie.. że ciała mego tu nie zostawisz!

— Przysięgam! — odparł przez zaciśnięte zęby Janusz.

Gwar wzmógł się — kroki silne zbliżyły się szybko... jeszcze jeden szczeł broni, potem kilkanaście uderzeń toporem i drzwi runęły ciężko na ziemię...

W tej chwili Janusz, trzymając w objęciach brata, rzucił się ku oknu, przesadził je i skoczył w przepaść.

A Dunajec do dziś dnia cicho płynie i nikt nie wie, że w falach swych ukrył nieśczęsnego, co imię swe splamiwszy, śmiercią okupił winę.

Opracował KRZYSZTOF SELIGA

Poświęcenie kaplicy centralnej ZKE

W dniach 1-3 maja br. odbyła się w Warszawie ogólnokrajowa Konferencja Braterska Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego zwołana w związku z poświęceniem Kaplicy Centralnej przy ul. Zagórnej 10 oraz z okazji 25 rocznicy zwycięskiego zakończenia wojny i powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Macierzy. Otwarcie konferencji i uroczyste poświęcenie świątyni odbyło się 1 maja o godz. 15.

W drugim dniu konferencji referaty wygłosili: ks. prezes Stanisław Krakiewicz na temat historii budowy Centralnego Domu Kościelnego w Warszawie, ks. Edward Czajko, sekretarz Rady Kościoła na temat działalności Kościoła w okresie minionego 25-lecia Polski Ludowej oraz ks. Jan Tolwiński — referat o okolicznościach poświęcenia obchodem 25-rocznicy zakończenia wojny i powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do Polski. W sesji przedpołudniowej tego dnia wzięli udział zwierzchnicy kilku Kościołów zrzeszonych w PRE.

Podczas konferencji odbyły się cztery nabożeństwa, na których Słowem Bożym służyli głównie kaznodzieje z zagranicy, oficjalni goście Kościoła.

Zjednoczony Kościół Ewangeliczny w PRL liczy ok. 8.000 wiernych. W 97 zborach i 111 placówkach (stacjach kaznodziejskich) pracuje 177 kaznodziejów, z których ogromna większość pełni swoje obowiązki w Kościele honorowo. Kościół wydaje miesięcznik „Chrześcijanin” w nakładzie 4.800 egz., w całości rozprowadzany w kraju oraz w 25 krajach świata. Ogólna ilość wydanych przez Kościół książek i broszur w latach 1947-1970 wynosi 125.640 egzemplarzy. Od grudnia 1965 roku Zjednoczony Kościół Ewangeliczny nadaje audycje religijne pn.: „Głos Ewangelii z Warszawy” (dwa razy w tygodniu po pół godziny) za pośrednictwem Radia w Monte Carlo.

Zjednoczony Kościół Ewangeliczny jest członkiem PRE.

Rozmowy z Czytelnikami

Pan W. Figwer z Bielawy

Nasza Redakcja nie ma po prostu czasu studiować obszernych, ponad dwudziestostronicowych elaboratów nawet na tematy biblijne. Stale podkreślamy, że możemy brać pod uwagę tylko normalne, jedno- lub dwustronicowe listy omawiające krótko, jasno i rozsądnie jedną lub dwie sprawy.

Co do Pana opinii o „postępowości” Kościoła Polskokatolickiego chcielibyśmy zauważyć, że owszem, jest on postępowy, lecz nie w znaczeniu nadanym przez Pana temu pojęciu. Postępowość polskokatolików nie polega na odrzuceniu starochrześcijańskiej nauki o matchnieniu Pisma św. i na odrzuceniu także przenośnym niektórych tekstów biblijnych.

Zmuszeni jesteśmy dodać, że biblistyka jest mimo wszystko nauką wymagającą solidnego przygotowania filologicznego, historycznego a zwłaszcza metodologicznego, więc nie każdy, kto zna tylko sztukę czytania, może zabierać się do biblijnej hermeneutyki. Kiedyś nadworny błazen ostatnich Jagiellonów, Stańczyk, stwierdził, że w Polsce najwięcej jest „lekarzy”, a mianowicie tyłu, ilu Polaków. Z korespondencji niektórych naszych Czytelników można wyciągnąć podobny wniosek, że mianowicie najwięcej wśród chrześcijan jest biblistów.

Wyjaśnijmy przy tym, że Stańczyk mówi o lekarzach domorosłych — którym daleko nawet do znachorstwa...

Rzymskokatolik z Grzanek W. (pseud. Racibórz)

prezentuje karykaturalny pogląd na małżeństwo, celibat i grzech pierworodny.

ny. Przedstawmy kilka jego myśli najbardziej „celnych”:

„Nikt nie może dwóm panom służyć” (Mat. 6, 24). Kapłan nie może służyć Panu Bogu, któremu powinien poświęcić swe ciało i równocześnie służyć pożądliwości ciała kobiecego. Gdy będzie chciał na dwie strony się ludzi, Pan Bóg go odrzuci... Nie dziwnego, że po takim brudnym kapłanie drudzy kapłani czyści, muszą poprawiać chrzty i śluby... Chrystus powiedział do paralytyka dziedzicznie obciążonego grzechem pierworodnym: „Ufaj synu, odpuszczając ci się grzechy twoje” (Mat. 9, 1-8). Czy kapłan polsko-katolicki żonaty i dzieciaty może odpuszczać grzechy, jeżeli sam jest nieuleczalnie sparaliżowany grzechem pierworodnym czyli grzechem pożądliwości cielesnej, za którą Adam i Ewa Raj utracili. Tak, tak! tak! Kapłani polsko-katolicki myślą, że służą Bogu, ale gruntownie się mylą, bo odrzucili pierwsze przykazanie Boże: „Będziesz miłował Pana Boga swego ze wszystkiego serca swego...”, bo kochają żonę i dzieci, a nie samego Boga...”

Tego rodzaju przekonania religijne u naszych Czytelników ze środowiska rzymskokatolickiego nie są rzadkością, a przecież — co nietrudno zauważyć — grzeszą nie tylko straszliwą naiwnością i brakiem religijnego uświadomienia, lecz i jakąś obsesją antyseksualną sprzeczną z duchem chrześcijaństwa i katolicyzmu autentycznego. Przecież tzw. grzech pierworodny nie ma nic wspólnego z „cielesną pożądliwością”. Adam i Ewa kochać się mogli po małżeńsku zanim „zjedli zakazany owoc”. Bóg (a nie diabeł) stworzył mężczyznę i kobietę, więc w ich wzajemnym pożądaniu nie wolno się dopatrywać grzechu. Nie ma sensu przeciwstawiać miłości małżeńskiej (czy rodzinnej) miłości ku Bogu. Bóg nie jest zazdrosny o serce mężczyzny kochającego kobietę lub o serce matki kochającej dziecko.

Poza tym, zdrowa, starochrześcijańska teologia zawsze odrzucała uzależnienie ważności sakramentów od bezgrzeszności (lub świętości) księdza. Również ksiądz-zbrodniarz może ważne rozgrzeszyć drugiego zbrodniarza.

O tych wszystkich (najprostszych przecież) sprawach przeważna część rzymskokatolików nie ma pojęcia. Po prostu ich nie zna. Powód niewiedzy leży głównie w nich samych — umysłowe lenistwo. Lecz czasami, słysząc wypowiedzi niektórych ich przywódców, odnosi się wrażenie, że powodem może być również błędne wychowanie religijne oparte na kulcie celibatu...

Pan Franciszek Kania z Krakowa

Słowo „katolik” jest pochodzenia obcego, łacińsko-greckiego i pierwotnie znaczyło tyle, co zwolennik katolicyzmu lub katolicyzmu. A katolicyzmo (katolicyzm) zawierała się w zasadzie postawionej przez Św. Wincentego z Lerynu w V wieku: „Tego się (w wierze) należy trzymać, w co wierzą wszyscy, wszędzie i zawsze”. Katolicyzmo bowiem to powszechność wiary co do ludzi, miejsca i czasu. Jej zwolennik — katolik — wierzy w to, w co wierzyła zawsze (czyli od czasów

apostolskich) i wszędzie (czyli w całym świecie) znaczna większość chrześcijan. Niekatolik wychodzi poza te ramy, krocząc własnymi drogami, kierowany zdaniem osobistym lub opinią jakiegoś wybitnego indywidualisty niechętnego życiu w gromadzie.

W ostatnich jednak czasach słowo „katolik” nabrało jeszcze innego znaczenia z katolicyzmo niezwiązanego. Mianowicie „katolikiem” nazywa się członka jednego z wielu wyznań chrześcijańskich, Kościoła Rzymskokatolickiego.

Jest prawdą, że Pismo św. Starego i Nowego Testamentu nazywa Hebrajczyków „narodem wybranym”. Jednakże nazwa ta nie ma nic wspólnego z polityką i rasizmem. Chodzi w niej wyłącznie o sprawy religijne. Był to naród „Wybrany” przez Boga w tym celu, by wypracował naukę o jednym Bogu (z odrzuceniem wielobóstwa) i by ze swego łona wydał Mesjasza. Gdy te cele spełnił, przestał być „narodem wybranym”, ponieważ nowa religia wypracowana już przez Mesjasza, za „naród wybrany” uznaje całą ludzkość, tak że już nie ma specjalnego uprzywilejowania żadnego narodu, żadnej rasy. Stwierdził to Ap. Paweł: „A tu już nie ma Greka ni Żyda... barbarzyńcy, Scyty...” (Koleś. 3, 11). Zwalczając pogląd o wybraności jednego, żydowskiego narodu. Ap. Piotr twierdził, że „wybrany” plemieniem, królestwem kapłaństwa, świętym narodem, ludem na własność przeznaczonym są chrześcijanie. A są takimi po to, by „ogłaszali dobroć” (1 Piotr 2, 9). Pozdrawiamy.

Pan Jan Górski z Lipna pyta: „Co to znaczy Kościół Polskokatolicki i gdzie wychowuje swoich kandydatów na księży?”

O Kościele Polskokatolickim również można sobie poczytać w „Kościołach chrześcijańskich”. Krótko informujemy, że jest to Kościół katolicki od strony zasad wiary, natomiast polski — w sprawach kościelnej dyscypliny i życia społeczno-patriotycznego. Naukę o prymacie i nieomylności papieża odrzuca ze względów zarówno religijnych (brak podstaw w Piśmie św. i Apostolskiej Tradycji) jak i patriotycznych (zależność życia kościelnego od Watykanu sprowadziła na Polskę wiele szkód i nieszczęść).

Przyszli księża polskokatolicki wychowują się w kościelnym Domu Alumna natomiast wykształcenie teologiczno-filozoficzne pobierają w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej posiadającej państwowe prawa nadawania stopni naukowych. Maturzyści reflektujący na pracę w charakterze polskokatolickiego księdza składają podanie do Prezydium Rady Kościoła Polskokatolickiego (W-wa, ul. Wilcza 31), skąd otrzymują szczegółowe informacje. Pozdrawiamy.

POZYCJE WYDAWNICZE DO NABYCIA W ZAKŁADZIE WYDAWNICZYM „ODRODZENIE”

- | | |
|---|-----------|
| 1. MSZAŁ POLSKI (oprawiony) | zł. 400,— |
| 2. Książeczka do nabożeństwa | zł. 35,— |
| 3. RYTUAŁ | zł. 60,— |
| 4. Podstawowe Prawo Kościoła Polskokatolickiego | zł. 10,— |
| 5. Katechizm Kościoła Polskokatolickiego | zł. 4,— |
| 6. Idea nieomylności | zł. 10,— |
| 7. Biskup HODUR | zł. 12,— |
| 8. Sprawa Kościoła Narodowego w Polsce | zł. 30,— |
| 9. Historia papieżstwa tom I | zł. 35,— |
| 10. Pisma bp. Fr. Hodura II tomu | zł. 60,— |
| oraz | |
| 11. Kościoły chrześcijańskie — Władysław Tarnowski i Szczepan Włodarski | zł. 20,— |
| 12. Rzym a sprawy polskie — Jerzy Skalski | zł. 18,— |
| 13. Siedem Soborów — Szczepan Włodarski | zł. 20,— |

Powyższe pozycje wydawnicze Zakład Wydawniczy wysyła za zaliczeniem pocztowym.

Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”
Warszawa, ul. Kredytowa 24

Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Dyrektor i Redaktor Naczelny — mgr Danuta Iwanowska. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Kredytowa 4, telefon 27 03 33. Warunki prenumeraty: Prenumeraty na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 28 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumerata za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi dla Europy 7 dol., 13,50 DM, 23,40 NF, 1,13 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 dol.; dla Australii 2,10 £, 2,4 £). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie” Nr NBP III O/M Warszawa, nr 1511-6-35386. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca. Nr indeksu — 37388. Skład i lamowanie: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 1/5. Druk: Zakład Wkłęsłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72.



Podanie o czorsztyńskim zamku

Sławny na całą Polskę był zamek warowny Czorsztyn! Jak orle gniazdo na szczycie skały wysokiej budowany, spozierał w krąg na polską ziemię i węgierską stronę jak pan i władca.

Orły też go zamieszkiwały: zazwyczaj siedliskiem był potężnych rodzin rycerskich, co jak orły ziemi swej strzegły, bywały jednak czasy, w których Czorsztyn, bezpiecznym będąc, siedzibą rozbójniczą się stawał. Z Niemiec przyszła do nas owa zaraza, bo tam bowiem rojło się od możnych rycerzy-rozbójników, co jak jastrzębie na zamkach wysokich mieszkając, trudnili się jeno rabunkiem i grabieżą cudzej własności.

Żył wówczas w osadzie podgórskiej rycerz waleczny z dawnego Szreniawitów rodu; ów dwóch synów bliźniaków miał i szczylił się chłopakami tymi, co wystrzelili w górę jak silne, gładkie jodły górskie, a podobni byli do siebie tak, że często ojciec rozróżnić ich nie mógł. Dzielnymi to byli i zacięni młodzieńcy, jeno starszy Janusz porywczym był i zawziętym, podczas gdy młodszy Staszek zdradzał rozwagę więcej i uczucia serdecznego. Między sobą miłowali się bracia okrutnie — jeden za drugiego byłby w ogień poszedł, aż ludzie dziwowali się temu.

Aż raz grom uderzył w rodzinę ową spokojną, Janusz, na turnieju na dworze królewskim będąc, pokonał słynnego rycerza niemieckiego, czym sławę niezmierną zyskał sobie. Ów rycerz jednak zagniewany był srodze i po walce zaraz zaczął opowiadać wszystkim, że nie siłą, jeno zdradą i podstępem zwyciężonym został, co nie tylko sławy zwycięzcy nie przynosi, ale ujmę mu czyni największą.

Janusz dotknięty tą obelgą nie puścił jej plazem; od słów przyszło do bitki i Niemiec w walce tej zginął.

Zabójstwo pod bokiem króla śmiercią się karze, zatem i Szreniawicie młodemu śmierć groziła hańbiąca z ręki kata, że jednak

przyjaciół miał wielu na dworze, uszedł szczęśliwie i słuch o nim zaginął.

Staszek sam powrócił do domu, przybity, zbolały i do roli się wziął, zbrzydździwszy sobie obyczaje dworskie; i tak cicho, smutnie poczęło płynąć życie w podgórskiej osadzie.

W jakiś czas po tym wydarzeniu, zaczęły się dziać wyprawy jakiegoś rycerza rozbójnika, który w Czorsztynie uwił sobie zbójckie gniazdo. Nikt go nie widział, bo twarz skrywał pod opończę.

A Czorsztyn coraz groźniejszym się stawał, mówiono już głośno o wyprawie wojennej na zuchwale gniazdo rozbójnicze, gdy dnia pewnego Staszek błady, zmieniony, wbiegł do ojca.

— Ojczy — rzekł — pożegnać was przychodzę; gotuje się wyprawa na Czorsztyn, idę z nią!

Ojciec spojrział nań ze zdumieniem.

— Oszalałeś?! — spytał surowo. — Ty na zbójcką wyprawę szedłbyś — po cóż?!

Chłopak kolana mu ścisnął.

— Nie pytajcie, ojczy — rzekł drżącym głosem — straszną rzecz usłyszałem dziś i nie spoczne, póki nie przekonam się, prawda li to czy potwarz złośliwa!

A rycerz stary domyślił się może, bo nie pytał już, jeno zbladł jak płótno i drżącymi dłońmi uściskał głowę syna.

— Jedź — szepnął zdławionym głosem. — Daj Boże, by wszystko złe fałszem się okazało.

Poszedł więc chłopak z oddziałem owym i wraz z innymi zamku dobywał. A niełatwa to była rzecz, Czorsztyn niezdobyta był warownią i rok cały mogli byli stać pod nią, nie nie wskórawszy, gdy po jakimś czasie zbieg się zgłosił z zamku i ofiarował się za dużym wynagrodzeniem wskazać królewskim hufcom przechód podziemny, co od Dunajca idąc aż do piwnic zamkowych prowadził.

Uradzono też, że nazajutrz przechodem owym udać się należy i warownię zdobyć.

W twierdzy zaś nikt nie przeczuwał zdrady, ucztowano tam swobodnie i drwiono z wroga, który otaczał mury — nie było jednak gwaru zwykłego, bo herszt był ponury i groźny, a podwładni wiedzieli dobrze, że gdy zły jest, niczym u niego życie ludzkie, każdy więc w oczy mu patrzył i myśli nieledwie zgadywał.

Wtęm pacholek wszedł i znak dał panu, że tajemną wieść jakąś niesie, powstał więc herszt i do izby przyległej się udał.

— Co tam? — spytał groźnie.

— Panie — wyjąkał przerażony sługa — człek jakiś... przechodem tajnym tu wszedł... i mówi...

Ale nie skończył, bo z oczu wodza siliły błyskawice.

— Ha, lotry! — krzyknął. — I człek ten żyje jeszcze?! Tak to strażujecie?!

— Przebaczenia, panie! — błagał pacholek. — Żuraw ciął go czekaniem... on jednak żyw jeszcze i błaga... by was mógł widzieć... mówi, że wieści ma ważne...

— Prowadź! — rozkazał sucho herszt.

Poszli tedy i po chwili znaleźli się w izbie podziemnej, sklepionej, w podłodze czerniał otwór głęboki, a obok niego leżał na ziemi młodzieniec jakiś, cały krwią zbroczony. Ujrawszy go, herszt zbladł jak chusta i z okrzykiem zdumienia i bólu rzucił się ku niemu.

— Staszek! — zawołał z rozpaczą, tuląc rannego w objęciach.

— Staszek! Tyżes to?

Brat za szyję go objął.

— Uciekaj — rzekł gorączkowo. — Zdradzono was! Jutro tym przechodem wojska wejdą!... Uciekaj!

Janusz zerwał się w pierwszej chwili, wnet jednak stanął z brwią zmarszczoną.